

**2**

Tej zimy Robin zachorował na zapalenie płuc i matka spędziła z nim w szpitalu prawie trzy tygodnie.

Od tamtego pamiętnego razu miałam już parokrotnie miesiączki i powoli się do tego przyzwyczajałam. Wprawdzie dwa

**41**

pierwsze dni były dla mnie zawsze męczarnią. Bardzo źle się czułam, ale później szybko następowało olbrzymie polepszenie. Podpaski musiałam kupować sobie sama i na ten cel Karl zaczął, po raz pierwszy w życiu, dawać mi kieszonkowe.

– Będiesz dostawała siedem i pół marki tygodniowo – zdecydował ojczym, robiąc przy tym taką minę, jakby to był olbrzymi majątek, a on musiał go na mnie scedować.

– Kup sobie za to, co tam potrzebujesz!

Przytaknęłam.

– Bądź oszczędna i pomyśl o tym, że więcej pieniędzy nie dostaniesz. Nie powinnaś więc wydawać ich na głupstwa! Zrozumiałaś mnie?

Ponownie przytaknęłam. Oczywiście, rozdzieliłam sobie dobrze pieniądze, dokładnie tak, jak chciał. Kupiłam najtańsze podpaski, jakie tylko mogłam dostać, a także kosmetyki na trądzik. Nic jednak nie pomogły, moje czoło nadal wyglądało tak, jak rok wcześniej. Z tego powodu któregoś dnia podciąłam sobie włosy. Dotąd moje czoło było odkryte.

– Coś ty zrobiła?! – krzyknęła przerażona babcia. – Wyglądasz jak strach na wróble!

Nabrałam powietrza. – Z grzywką czy bez i tak zawsze uważałaś mnie za stracha na wróble – odpyskowałam, próbując dobrać taki sam nieprzyjemny ton, jak ten, którego ona zawsze używała w rozmowie ze mną.

– Co w ciebie wstąpiło, bezczelna smarkulo?! – warknęła wściekle babcia i ścisnęła mnie za ramiona. Często to robiła, ale tym razem nie wymknęłam się jej bez słowa – tak jak dawniej.

– Zostaw mnie! – syknęłam, po czym rzuciłam się do ucieczki. Poczulałam się przy tym, jakbym odniosła niewielkie zwycięstwo. Naturalnie to było śmieszne.

Na Boże Narodzenie Robin wciąż jeszcze nie był całkiem zdrowy. Karl pozwolił mi po południu pojechać razem z nim i babcią do szpitala.

– Sofia, Sofia, Sofia! – wydając radosne okrzyki, mój mały, bladziutki braciszek wtulał się w moje ramiona.

Głaskałam wychudzoną buźkę, uśmiechając się czule na widok jego cudownych, zielonych, dziecięcych oczek.

– No, nie rób przedstawienia...! – powiedziała wtedy przybrana babcia i zabrała Robina z moich kolan. Mój braciszek rozplakał się, ale w końcu się uspokoił i zasnął na rękach Karla. Usiedli: śliczna blondynka – moja matka; wysoki błękitnooki blondyn, trzymający na kolanach jasnowłosego, śpiącego Robina – mój ojczym; a obok niego, niczym sroga strażniczka – jasnowłosa, piękna i zimna babcia.

Czułam się wykluczona, osamotniona i bardzo inna, kanciasta, niewydarzona brunetka.

Wieczorem, przy dźwiękach kolęd, ojczym i jego matka raczyli się w pokoju gościnnym drogim, bożonarodzeniowym winem, chrupiąc przy tym anyżowe cukierki.

Usiadłam przy nich bez słowa i w milczeniu patrzyłam na swoje prezenty, leżące przede mną na szklanym blacie stołu. Nie umiem sobie dokładnie przypomnieć, co wtedy dostałam, ale nigdy nie obdarowywano mnie czymś naprawdę ładnym. Zawsze były to prezenty grzecznościowe, ściślej mówiąc, kilka drobiazgów. Nikt się nie zastanawiał, co mogłoby mi się naprawdę spodobać.

W drugim dniu świąt złożono nam wizytę. Zadrżałam, ponieważ musiałam w niej uczestniczyć. Któż to siedział obok Karla w pokoju gościnnym? Sam pan Becher. Między nimi ustawiona była szachownica – gotowa do rozpoczęcia gry. Od dnia ślubu mojej matki z Karlem widziałam pana Bechera kilka razy – przychodził do nas czasami, siadał w pokoju gościnnym i pił z moim ojczymem piwo. Niekiedy siedzieli tak do późna w nocy, głośno się przy tym zachowując. Za każdym razem natchodziły mnie myśli o tym, co widziałam wtedy w ogrodzie. Chociaż minął już ponad rok od tamtego zdarzenia, nadal się wstydziłam i robiłam wszystko, żeby uniknąć spotkania z nim. Także i tym razem chciałam wymknąć się niepostrzeżenie, ale Karl zauważył mnie przez drzwi do pokoju gościnnego.

– Co się tak skradasz w przedpokoju, Sofio? – zawołał do mnie nadzwyczaj uprzejmie.

Milczałam.

– No, wejdźże już do pokoju, gąsko! – kontynuował Karl, śmiejąc się. – My nie gryziemy, mam rację, Norbercie?

– Jasne, my jesteśmy całkiem oswojeni! – zawołał pan Becher, a jego głos brzmiał tak samo przyjaźnie, jak Karla.

– No, powiedz „dobry wieczór” – rozległ się głos, po którym mogłam poznać, że Karl spoważniał.

– Dobry wieczór... – burknęłam niechętnie.

– Cześć, mała czarodziejko! – odpowiedział pan Becher i wyciągnął do mnie swoją dużą, pulchną dłoń.

Spojrzenie Karla było wystarczającym ostrzeżeniem. Znałam je i bałam się go, dlatego podeszłam do pana Bechera i ostrożnie podałam mu rękę.

– Ta wasza Sofia staje się coraz ładniejsza! – powiedział i zaśmiał się, patrząc na mnie. Wewnątrz cała drżałam ze zdenerwowania i patrzyłam w inną stronę, kiedy pan Becher ścisnął moją dłoń.

„Może jednak dzisiaj to wszystko, to tylko takie niewinne żarty i mój strach także jest całkiem niepotrzebny... – próbowałam się uspokoić. – Przypuszczalnie pan Becher już dawno zapomniał o naszym strasznym spotkaniu. Prawdopodobnie był wtedy lekko podпиты”.

– To nie moje, Sofia jest Franziski – powiedział bez ogródek Karl. – Nie sądzisz chyba, że spłodziłbym taką małą, czarownicę, ponurą czarownicę? Pomyśl tylko o moim samczyku, synu Robinie, takie dzieci robię...

Śmiał się i mrugał do mnie porozumiewawczo.

– No, ja w każdym razie uważam, że Sofia jest jak świeża śmietana! – powiedział przyjaźnie pan Becher, spoglądając z powrotem na szachownicę.

Odetchnęłam z ulgą i skierowałam się w stronę drzwi.

– Dlaczego nie zostaniesz z nami i nie dotrzymasz nam przez chwilę towarzystwa? – zapytał pan Becher właśnie wtedy, gdy, zapalając światło w ciemnym korytarzu, zamierzałam wyjść.

– Sofio, nie słyszałaś?! – natychmiast wrzasnął Karl.

Zatrzymałam się.

– Już, siadaj z nami! – rozkazał nieco delikatniej mój ojczym.

– I przynieś dwie butelki piwa – dorzucił pogodnie pan

Becher. – Mam nadzieję, że znajdzie się u was w domu jeszcze parę butelek, Karl?

Tak, mieliśmy w domu piwo i to w dużej ilości. Ciagle wysyłali mnie tego wieczoru do kuchni, do lodówki.

– Nie ma więcej – poinformowałam w końcu obu rozgrywających jeszcze tę samą partię, wpatrzonych w milczeniu w szachownicę. Tym razem nie rozmawiali głośno – wręcz przeciwnie – szeptali i nawet śmiali się dyskretnie. Figury Karla co rusz szachowały króla pana Bechera.

– Cholera, potrzebuję jeszcze jedno piwko, inaczej się przekręcę! – mruzczał pan Becher, na co Karl wysłał mnie do piwnicy.

– Tam stoi jeszcze jedna pełna skrzynka – powiedział, poklepując swego przyjaciela po ramieniu. – Obiecuję ci, że w naszym domu niczego ci nie zabraknie.

Zeszłam cała w strachu do piwnicy, przechodząc obok mojej ciasnej, karnej celi, w której było jeszcze stosunkowo przyjemnie w przeciwieństwie do reszty pomieszczeń, gdzie panował ponury nastrój i wisiało pełno pajęczyn, a od nieotynkowanych ścian rozchodził się niemiły zapach stęchlizny.

Nagle usłyszałam za plecami ciche, skradające się kroki. Przerazona zatrzymałam się. Kto schodził po schodach?! Przecież nie mogli to być ani mój ojczym, ani pan Becher – oni schodząc, robili dużo więcej hałasu. Przed wszystkim gruby i wysoki pan Becher miał ciężki, głośny chód.

A jednak był to pan Becher... Umykałam wzdłuż ścian, przyciskając się do nich mocno. Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co.

Za to pan Becher wiedział: – No, czarodziejko? Chciałem tylko na ciebie spojrzeć. Myślałem, że boisz się schodzić tutaj sama.

Dobierał się do mnie. Jego ręce z łatwością i w błyskawicznym tempie wślizgnęły się pod mój pulower i podkoszulek.

Zacisnęłam powieki i cicho jęczałam z przerażenia.

– Hej, Sofio, gdzie masz piwo? – zawołał Karl. Nigdy jeszcze nie byłam taka zadowolona z istnienia mojego ojczyma, jak w owej chwili.

– Idziemy! – ryknął pan Becher, zabierając swoje łąpska spod mojego podkoszulka. – Szkoda... – dopowiedział po cichu. – Ale praktycznie już jesteś moja, mała Sofio, możesz mi wierzyć! – bardzo cicho wyszeptał mi prosto w twarz.

Jego oddech śmierdział piwem, chipsami i orzeszkami ziemnymi.

Przyjaciel Karla wrócił, nawet już na mnie nie spojrzawszy, do pokoju gościnnego.

Pół godziny później przegrał partię szachów i zbierał się do wyjścia. Patrzyłam za nim przez moje okno na poddaszu, czując przed tym człowiekiem paraliżujący strach.

Przed nim i całym światem.

– Kiedy wreszcie przyjdzie mama? – zapytałam babcie następnego ranka. Prawie całą noc nie spałam. Jak tylko usnęłam, budził mnie ten sam straszny koszmar. Pan Becher był w nim obecny... grał z Karłem w szachy na moim poddaszu, upierając się przy tym, abym rozebrana siedziała koło niego i pozwalała mu dotykać piersi, kiedy tylko zechce. Karl na to patrzył i głośno się śmiał.

– Zobaczymy, co powie pediatra – powiedziała babcia, nakrywając do stołu.

– Babciu, muszę ci coś powiedzieć... – wydusiłam w końcu z siebie, wlepiając oczy w talerz. Miałam przy tym takie uczucie, jakby całe moje ciało zeszywniało, a usta dziwnie zdrętwiały.

– Mogłabyś przynieść z lodówki tacę z serami – odpowiedziała mi na to babcia, siadając do stołu. – I pokroić resztę bożonarodzeniowego placka. Karl czasami lubi go zjeść na śniadanie.

Wstałam rozdygotana i podeszłam do lodówki. – Babciu! Pan Becher wczoraj wieczorem w piwnicy... włożył rękę pod mój pulower – wyszeptałam wreszcie.

Zrobiło się zupełnie cicho.

– Co powiedziałaś? – spytała po chwili babcia, a ja zdesperowana próbowałam wywnioskować, co tym razem oznaczał ton jej głosu. Była zszokowana czy zdenerwowana? Czy w ogóle mnie zrozumiała? Uwierzyła mi?

Nagle załkałam. – On... on mnie naprawdę... dotykał – po prostu obmacywał... – powtórzyłam łamiącym się głosem. Przed oczami tańczyły mi jak oszalałe jasne gwiazdy.

W uszach mi szumiało i miałam wrażenie, że każdy otaczający mnie dźwięk brzmi o wiele głośniejszy niż zazwyczaj. Lodówka dźwięczała przenikliwie i złowrogo, a babcia, odstawiając do zlewu talerz po śniadaniu, głośno nim brzęknęła. Potem na stół kuchenny upuściła nóż, który wydał ostry brzdęk, i głośno szurając, odsunęła swoje krzesło.

Najchętniej zatkałabym uszy, bo cały ten dziwny hałas przyprawiał mnie o ból głowy.

Nieco później babcia zniknęła za kuchennymi drzwiami, ale słyszałam ją idącą w pośpiechu i zdecydowanym krokiem przez przedpokój, pukającą w końcu do drzwi sypialni moich rodziców.

BUM, BUM, BUM – uderzała ostro, a ja cicho jęczałam.

Minęła chwila i absolutnie nic się nie wydarzyło. Jak spalizowana wytrzeszczałam oczy na resztkę leżącego przede mną, kruchego bożonarodzeniowego placka, który powinienam w tej chwili pokroić dla mojego ojczyma. Nie mogłam jednak ruszyć nawet małym palcem, cała byłam zdrętwiała.

Nagle zjawił się Karl. Uderzył mnie prosto w twarz, nazywając kłamczuchą, po czym złapał mnie za rękę i zaciągnął przez kuchnię i korytarz, schodami w dół, do mojego małego pomieszczenia w piwnicy.

Tam uderzył mnie znowu. W przerwie między kolejnymi bolesnymi razami wyjaśnił, że pan Becher jest jego najlepszym przyjacielem.

Potem stwierdził, że pozostanę tu – na dole – tak długo, aż przyznam, że całe to bezczelne kłamstwo wyssałam z palca.

Wszystko, dokładnie wszystko mnie boleło. Karl trzymał mnie mocno za podbródek i spoglądał na mnie zimno. Zamknęłam oczy.

– Otwórz oczy, ty gówniaro! – powiedział.

Otworzyłam je i patrzyliśmy na siebie. Nad nami, w gościnnym pokoju chodziła babcia – słyszałam jej kroki. Później rozległy się dźwięki kolędy, pewnie babcia nastawiła płytę CD.

Karl mierzył mnie wzrokiem, patrząc na moją zbolaną twarz.

– Przyznaj, że tylko wymyśliłaś tę niewiarygodną historię – powiedział spokojnie, bardzo spokojnie.

– Tak... – usłyszałam nagle własny szept.

– Co „tak”?! – spytał Karl.

Przełknęłam ślinę.

– Tak, wszystko to sobie wymyśliłam – szeptałam.

Karl wymusił na mnie, żebym jeszcze raz powtórzyła to zdanie głośno i wyraźnie, dopiero wtedy wolno mi było wrócić na górę.

Jeszcze tego wieczoru uciekłam z domu. Zdarzyło mi się to już drugi raz w życiu.

Właściwie chciałam biec, uciekać, po tym jak udało mi się niepostrzeżenie wymknąć z domu, ale nie mogłam. Od razów Karla wszystko mnie bolało, dlatego bardzo powoli i ostrożnie szłam ulicą. Właściwie zdecydowałam się iść do szpitala miejskiego i opowiedzieć mojej matce o tym, co zdarzyło się w domu. Tym razem musiałaby mi pomóc, pomogłaby mi, byłam tego całkiem pewna.

– Mamo – wyszeptałam do siebie półgłosem. – Mamo, mamo, mamo...

Jakoś dobrze mi zrobiło wypowiedzianie tego słowa, ale kiedy zobaczyłam, wyłaniający się przede mną z mroku, wysoki, szary budynek szpitalny, zatrzymałam się. Nagle stało się dla mnie jasne, jak bezsensowne było moje przyjście tutaj. Matka nigdy mi nie pomoże, nawet jeśli Karl skatowałby mnie na śmierć. Stałam odrętwiała i wpatrzona w szpital tak długo, aż zaczęły mnie piec oczy.

To było jak chłodne orzeźwienie, które spadło na mnie jak grom z nieba, z nieba pochmurnego i zimowego.

Ona nigdy mnie nie ochroni i nie pocieszy, będzie się za to na mnie złościć i odpychać od siebie.

Dziwny, niesamowity chichot ogarnął mnie w tym momencie i prawie ożywcze, wzniosłe uczucie, pod wpływem którego rozpoczęłam nowy rozdział w swoim życiu, obróciłam się na pięcie i odeszłam. Znowu szłam dłuższą chwilę, ale ponieważ tym razem nie obrałam żadnego celu, pokonywana odległość

wydała mi się dużo dłuższa od drogi do szpitala. W końcu sta-  
nęłam przed tym samym supermarketem, przed którym już  
raz się zatrzymałam dwa i pół roku wcześniej. Przemarznięta  
do szpiku kości szukałam komina wentylacyjnego, dmuchają-  
cego ciepłym powietrzem i żelaznej kratki, na której wówczas  
spałam. Teraz już nie dolatywał z niej ciepły, kojący podmuch.  
Tym razem komin wentylacyjny nie pracował – był zimny.  
Nagle przypomniałam sobie sympatycznego pracownika super-  
marketu, który mnie wtedy obudził i uraczył gorącym kakao.  
Rozejrzałam się dokoła, ale nikogo nie zauważyłam. Poszłam  
więc zrozpaczona dalej i w pewnym momencie znalazłam się  
na ulicy, przy której znajdował się inny supermarket. Tu na  
szczęście można było poczuć przyjemny nawiew ciepłego po-  
wietrza. Przykucnąwszy, wymiotowałam.

Tej nocy nie mogłam spać. Wiele godzin spędziłam przera-  
żona i niespokojna na twardej, niewygodnej kracie i jeszcze za-  
nim zrobiło się jasno – wstałam z wysiłkiem i ruszyłam w dro-  
gę do domu. Wszystkie drzwi były pozamykane, a na moje  
pukanie i nawoływania nikt nie zareagował. Dzwonek był wy-  
łączony. Nie pozostawało mi nic innego, jak usiąść przy zam-  
kniętych drzwiach frontowych i czekać, aż Karl albo babcia  
otworzą mi wreszcie.

Nikt mnie nie zagadnął na temat tej nocy. Około godziny  
siódmej pozwolili mi wejść do domu, jakby nic się nie stało. Na  
zewnątrz wciąż panował mrok. Byłam tak przemarznięta, że  
już nawet nie odczuwałam zimna.

Zataczając się, pokonałam schody na górę i wślizgnęłam  
się pod koldrę. Tego dnia moja matka i Robin wrócili do domu.

– Sofio, Robin znowu jest tutaj! – zawołał braciszek, przy-  
biegając do mnie, wdrapując się do mojego łóżka i tuląc się do  
mnie, podczas gdy moja matka, zaglądając do mnie tylko na  
krótko, oznajmiła oschle, że jest z powrotem.

– Dlaczego jesteś w łóżku, Sofio? – zapytała, marszcząc czoło  
i ciągnąc za sobą Robina.

– Chyba jestem chora – odpowiedziałam cicho. – Marznę.

– Na chorą to ty nie wyglądasz – rzuciła niedowierzająco  
matka.

– Ale źle się czuję – powiedziałam, z całego serca pragnąc się rozchorować po tej nocy, spędzonej w zimnicy. Może wtedy zaczęliby się o mnie troszczyć.

Jednak nie zachorowałam, dziwnym trafem nie nabawiłam się nawet kataru i nikt się o mnie nie troszczył.

A potem był sylwester i znowu przyszedł pan Becher.

– Sofio, otwórz, proszę! – zawołała matka, kiedy u drzwi zabrzmiał dzwonek.

– Nie! – jęknęłam przerażona, stojąc na piętrze. – Nie mogę w tej chwili, muszę...

– Sofio, rób, co ci każe twoja matka! – rzucił lodowato Karl, który nie wiadomo skąd pojawił się obok mnie.

Sparaliżowana strachem, z oporami schodziłam po schodach do drzwi wejściowych.

– No, czarodziejko... – odezwał się pan Becher, uśmiechając się do mnie.

Trzymał w ręku dwie małe wiązanki kwiatów.

– Wybierz sobie, Sofio – powiedział serdecznie. – Ten drugi damy twojej pięknej mamie, OK?

Zaniemówiłam.

– O, dostaniesz ten tutaj – pan Becher wetknął mi do ręki bukiet i zamknął za sobą drzwi. – Myślę, że tej nocy spadnie w końcu śnieg, wszystko na to wskazuje. – Śmiał się zadowolony. – Śnieg na powitanie Nowego Roku, wspaniale.

Zaprowadziłam go do pokoju gościnnego. Otrzymane w darze kwiaty matka włożyła do wazonu i postawiła na stole w jadalni. Podziwiałam je: dwa różowe goździki, jedną żółtą różę, której żółty pąk zwisał żałośnie, jedną rachityczną liliową frezję, wyglądającą jak rozczochrana oraz kilka innych nieznanymi mi kwiatków.

– No, podobają ci się, czarodziejko? – zapytał pan Becher, kładąc na chwilę rękę na moim karku.

Przytaknęłam pospiesznie, ledwo mogąc złapać oddech z przerażenia.

Rozpaczliwie wręcz uważałam przez cały wieczór na to, żeby ani przez chwilę nie zostać sam na sam z najlepszym przyjaciелеm mojego ojczyma. Drżałam ze strachu przed jego duży-

mi łapskami, tubalnym śmiechem, zapachem wody kolońskiej i jego słowami.

– Czy mogę już iść spać? – zapytałam cicho w pewnej chwili. Byłam wykończona ciągłym napięciem, wywołanym niepokojem i strachem, przecież pan Becher mógłby mnie znowu dopaść gdzieś na uboczu, sam na sam. Nikt mi nie odpowiedział, wszyscy byli zajęci degustacją różnych rodzajów wina i piwa oraz sortowaniem sztucznych ogni, które chcieli później odpalić. Matka krzątała się w kuchni.

– Bardzo cicho poszłam na górę i wślizgnęłam się do swego łóżka.

Tak jak zimną, dokuczliwą mgłą rozpoczął się ten rok, tak i się zakończył. Byłam w swoim pokoju, samotna, przepełniona smutkiem i trwogą, leżałam pod kołdrą, czując się odsunięta od wszystkich.

W styczniu nie wydarzyło się nic szczególnego. Raz odwiedziłam mojego owdowiałego dziadka w domu opieki. Siedziałam przy nim bez słowa. Czasami się budził i znowu zasypiał, cicho przy tym chrapiąc. O mały włos nie zsunął się ze swojego wózka inwalidzkiego, więc szybko pobiegłam po pielęgniarkę, która go prawidłowo usadowiła.

– Mój smutny zajęczku, jesteś tutaj... – odezwał się całkiem niespodziewanie Waldemar, który nagle przebudził się i wyglądał prawie tak, jak przed laty. Wyciągnął do mnie, uśmiechając się, swoją starą, trzęsącą się rękę.

– Ale wyrosłaś – nie do wiary.

Miał zapalenie spojówek, a po jego nierównym oddechu można było poznać, że choruje. Od siostry, którą przyprowadziłam, kiedy o mało nie wypadł ze swojego wózka, dowiedziałam się, że Waldemar na Boże Narodzenie przeszedł ciężkie zapalenie płuc.

– Mój braciszek Robin też był chory na zapalenie płuc – opowiadałam dziadkowi, delikatnie głaszcząc jego dłoń.

– Tak, tak bywa w życiu – westchnął Waldemar.

Patrzyliśmy na siebie. – Dzieciatko, masz takie smutne oczy – powiedział w końcu Waldemar. – Masz jakieś zmartwienie?

Przytaknęłam.

– W domu jest tak strasznie – odparłam i nagle byłam pewna, że zaraz opowiem wszystko, co wydarzyło się ostatnimi czasami.

– Musisz mówić głośniej – odezwał się Waldemar. – Jestem głuchy na jedno ucho, ledwie cię rozumiem, wiesz.

Zamilkłam, tłumiliłam to w sobie. Nie, już na samą myśl o tym robiło mi się ciemno w oczach z przerażenia, a co dopiero, gdybym miała głośno opowiedzieć o moich strasznych przeżyciach na Boże Narodzenie!

– Nic ważnego, Waldemarze – to wszystko, co umiałam powiedzieć głośno i wyraźnie.

– No, to dobrze – mruknął dziadek i ponownie zapadł w drzemkę.

– Myślę tylko, że poza tobą nikt mnie nigdy nie kochał – powiedziałam bardzo cicho, a potem w popłochu opuściłam pokój.

Dwa tygodnie później matka dostała kolejny list z opieki społecznej. Obejrzawszy go podejrzliwie, rozdarła kopertę.

– Czego też znowu chcą ode mnie? – mruzczała. Wyciągnęła list i przejrzała go pobieżnie.

– Och, on nie żyje... – powiedziała potem, osłupiała ze zdumienia. – Piszą, że zmarł przed trzema dniami.

– Kto zmarł? – wyjąkałam przerażona.

– Waldemar Tinbergen – odpowiedziała machinalnie moja matka, a na jej czole pojawiła się mała zmarszczka. – Najwyraźniej miał zapaść i serce nie wytrzymało...

Nie zniosłam nagłych nudności i skurczy w żołądku – resztką sił przywlokłam się do toalety i zwymiotowałam.

Pod koniec stycznia stopniał śnieg. Na półroczce przyniosłam ze szkoły dzienniczek z bardzo słabymi ocenami. Ze strachem położyłam go przed mamą na kuchennym stole.

– Odłóż swój kram gdzie indziej – widzisz, że gotuję! – powiedziała poirytowana matka.

– To są moje oceny... musisz je podpisać – wyjaśniłam cicho, niespokojna.

– Połóż je na biurku Karla! – powiedziała, nie rzucając nawet na nie okiem. – Będzie chciał je zobaczyć.

Przygnębiona zrobiłam to, co kazała. Wieczorem, kiedy wrócił Karl i odkrył moje złe stopnie, dostałam – tak jak się spodziewałam – po twarzy. Cała była rozpalona i przez chwilę miałam wrażenie, że zdrętwiały mi policzki. Gdy rodzice, braciśzek i babcia zasiedli do kolacji, uciekałam do swego cichego, ustronnego pokoju.

W ubraniu położyłam się do łóżka i naciągnęłam koldrę na głowę. Do obolałej twarzy przyłożyłam zimne dłonie i tak zasnąłam.

Z czasem zaczęłam zachowywać się jak robot. Nie dostrzegana przez innych po prostu zaczęłam reagować jak maszyna. Rano wstawałam i szłam do szkoły, koło południa wracałam do domu i odrabiałam lekcje, a potem aż do kolacji siedziałam w swoim pokoju na łóżku i patrzyłam przez okno. Świat za szybą był beznadziejny. Poza niewielkim fragmentem nieba widziałam tylko część komina i dużą, szarą antenę satelitarną Karla. Z miejsca, gdzie stało łóżko, nie było nic więcej widać. Koncentrowałam się więc na tym małym skrawku nieba i całymi godzinami wpatrywałam się w niego. Bywały szare i zachmurzone dni, a czasami padał deszcz z widocznej dla mnie części chmury i im bardziej zbliżała się wiosna, tym częściej delikatnie błękitniało niebo.

Od czasu do czasu na tle „mojego” nieba pojawiało się kilka ptaków przelatujących w oddali, zapragnęłam mieć tak dużo swobody, jak one.

– Mogłabym ci w czymś pomóc? – zwróciłam się któregoś dnia do mamy, kiedy nie mogłam już dłużej znieść samotności w swoim pokoju.

Jednak nie chciała skorzystać z mojej propozycji. Powiedziała, że wszystko ma pod kontrolą, a poza tym boli ją głowa, więc największą pomocą z mojej strony byłoby, gdybym poszła z powrotem do swojego pokoju i nie wchodziła jej w drogę.

Poczułam się bardzo źle, odrzucona i samotna.

– Sofio, proszę, nie stój tu ciągle i nie patrz jak cielę na malowane wrota, to mnie doprowadza do szału – powiedziała matka, dalej sortując pranie.

– Tak – wymamrotałam posłusznie. Potem poszłam do

przedpokoju, włożyłam kurtkę i wymknęłam się niepostrzeżenie. Na zewnątrz było zimno i wietrznie, z szarego nieba padała irytująca mżawka. Także z „mojego” skrawka nieba, jeszcze jednak spokojnego i wiosenno-błękitnego, padał deszczyk, dokładnie wtedy, kiedy przechodziłam pod nim, idąc do pralni.

Wtuliłam głowę w ramiona i wyszłam na ulicę. Musiałam biec, żeby nie myśleć i nie zwariować z samotności. Chciałam widzieć ludzi i do nich – kogokolwiek i gdziekolwiek – przynależeć. Jednak wszędzie dokoła były tylko puste ulice przedmieścia z otoczonymi niskimi parkanami ogródkami i stojącymi przy krawężnikach samochodami. Mimo wszystko to było lepsze od widoku anteny satelitarnej Karla.

Szłam bez wytchnienia, prosto przed siebie, zatrzymawszy się dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam idącą z naprzeciwka starszą kobietę z małym psem na smyczy. Obwąchał moje nogi, a jego brązowe oczka spoglądały na mnie – w górę. Bardzo chciałam go pogłaskać – moje zmarznięte ręce domagały się po prostu dotyku czegoś ciepłego, puszystego, jednak starsza pani odciągnęła go zniecierpliwiona ode mnie.

Szłam więc dalej pogrążona w smutku. Oddałabym wszystko, żeby Waldemar jeszcze żył. Poszłabym go teraz odwiedzić i mogłabym gładzić jego trzęsące się ręce. Ale Waldemar umarł. Śmierć, śmierć, śmierć. Waldemar będzie umierał tak długo, jak ja żyję, a także potem.

Później pomyślałam o Ani, która prawie dokładnie rok wcześniej wyprowadziła się do Monachium. Myślałam o niej, o jej ojcu i korpulentnej mamie i poczułam straszną tęsknotę za nimi. Często pisałam do Ani, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi, dlatego później sama przerwałam korespondencję.

Było mi źle, przygnębionej i samotnej. Błąkając się bez celu, w końcu dotarłam do jakiegoś placu zabaw, który stał opustoszały, w deszczu. Weszłam i usiadłam na mokrej, zimnej huśtawce. Patrzyłam przed siebie, huśtając się przez chwilę i marząc, żeby zdarzył się jakiś cud, który odmieniłby moje życie.

Nie otrzymałam nowego, lepszego życia, ale rzeczywiście coś się zdarzyło. Nie od razu, ale dopiero w lecie, kiedy „mój” skrawek nieba, widziany w oknie, stał się błękitny i dokoła

zrobiło się jasno, słonecznie i ciepło. Tego lata do naszej klasy przyszedł Anthony. Przybył z innej części miasta i miał już piętnaście lat.

– Cześć wszystkim – powiedział uśmiechnięty od ucha do ucha. – Jestem Anthony i niestety mam sieczkę w głowie – już drugi raz siedzę w tej samej klasie. – Opuścił swój plecak na podłogę i patrzył wyczekująco na panią Korstel, która przejęła naszą klasę po pani Bunde.

Anthony miał piękną brązową skórę, gdyż jego ojciec był Afroamerykaninem. – Za cholerę nie mogę sobie przypomnieć tego przebiegłego Jankesa, bo wyniósł się tuż przed moimi pierwszymi urodzinami – powiedział mi parę dni później.

Pani Korstel nie przyjęła Anthony’ego ze szczególnym entuzjazmem, ponieważ musiała przygarnąć jeszcze jednego chłopca do swojej klasy, która już liczyła ponad trzydziestu uczniów. Nowa wychowawczyni była tak samo młoda i wymagająca, jak pani Bunde.

– Usiądź obok Sofii! – powiedziała krótko. – To jedyne wolne miejsce.

I w taki oto sposób Anthony Scott usiadł koło mnie.

Jak doszło do tego, że mnie polubił, sama nie pojmuję. Od tego dnia już nigdy nie zostawałam na przerwach sama.

– Któregoś dnia polecę do USA i wytropię swojego niewydarzonego ojca, tego jestem pewien! – powiedział mi kiedyś. – Kobieto, może nareszcie wygarnę mu całą prawdę. Ten typ po prostu porzucił moją matkę!

– Ja też nie znam swego ojca – powiedziałam cicho. – Moja matka nigdy mi o nim nie opowiadała – dodałam.

– Przypuszczalnie też ją zostawił i jest jej przykro ze względu na ciebie – powiedział Anthony, delikatnie głaszcząc mnie po twarzy. – Beznadziejnych mamy ojców – westchnął. – Chociażby to już nas wiąże.

Milczałam.

– Masz takie piękne włosy. Rzadko się takie spotyka – kontynuował Anthony i niespodziewanie ujął moją twarz w swoje dłonie.

– Cieszę się, że cię spotkałem, Sofio.

Staliśmy na obrzeżach szkolnego podwórka i patrzyliśmy na siebie bez słowa. A potem pocałowaliśmy się. Robiliśmy to bardzo delikatnie, nasze wargi po prostu się zetknęły i Anthony mnie objął.

– Kobieto, naprawdę cię lubię – powiedział. – Zawsze pachniesz tak przyjemnie i masz przepiękne czarne oczy. Wiesz, na dobrą sprawę twoje oczy są tak ciemne, że nie można w nich dostrzec źrenic.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Mój ojczym uważa, że wyglądam jak obcokrajowiec – to było wszystko, co w końcu zdołałam z siebie wydusić.

– Kolejna rzecz, która nas łączy – zaśmiał się Anthony i kontynuował wyliczankę, rozprawiając o swoich dredach.

Uśmiechnęłam się zakłopotana.

– Jesteś jakaś nieswoja i stale przygnębiona, nie mam racji? – zapytał Anthony i delikatnie mnie objął.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiesz, dlaczego jesteś smutna? – spytał Anthony i w tym momencie, na szczęście, rozległ się dźwięk dzwonka, co oznaczało, że musimy wracać do klasy.

Dopiero dużo później opowiedziałam mu, że w domu ojczym mnie bije, a moja matka pozwala na to i że wydaje mi się, iż nic sobie z tego nie robi.

– Myślę, że jestem jej zupełnie obojętna – powiedziałam i przytuliłam się do Anthony'ego.

– Mój ojczym także dawał mi w skórę – westchnął Anthony. – Ale matka zaczynała piszczeć i wtedy przestawał. On jest bezrobotny i czuje się z tego powodu sfrustrowany, rozumiesz? Przez cały dzień zbija bąki albo siedzi przed komputerem. Gdybyś widziała, jak wszystko się zmieniło, odkąd pojawił się w domu, po prostu sprawił, że nasze życie to jeden wielki horror.

Anthony z obrzydzeniem wstrząsnął głową.

– A moi młodszy bracia stoją obok niego i patrzą na to gówna. Przypuszczalnie też ześwirują.

Już dawno nie zdarzyło się nic równie cudownego w moim życiu, jak pojawienie się Anthony'ego, jednak później przytrafiło mi się coś jeszcze wspanialszego.